

# Irena Zegarska-Becker

---

## Wysiedlenia rodziny Zegarskich z Gdyni w 1939 i 1940 roku

---

Zeszyty Gdyńskie nr 5, 93-104

---

2010

Artykuł został opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

Irena Zegarska-Becker

## Wysiedlenia rodziny Zegarskich z Gdyni w 1939 i 1940 roku

W sprawie wysiedlenia Polaków z Gdyni ukazały się tu i ówdzie wypowiedzi, a w tym Eriki Steinbach<sup>1</sup> z Niemiec, które niezupełnie dokładnie określały sam fakt. Jaka była przyczyna?

W listopadzie 1939 r., u nas w domu, w Gdyni, o godzinie 5.00 rano zjawiała się Policja i kazała nam ubrać się i wyjść przed dom. W domu o celu wyjścia niczego

---

<sup>1</sup> Erika Steinbach, z d. Hermann (ur. 25 lipca 1943 r. w Rumi k. Gdyni) – niemiecka polityk. Parlamentarzystka Bundestagu (od 1990 r.), wybrana we Frankfurcie nad Menem, członek CDU. Przewodnicząca Związku Wypędzonych w Niemczech, inicjatorka budowy Centrum przeciwko Wypędzeniom w Berlinie. Jest córką urzędniczki z Bremy Eriki z domu Grote i żołnierza Luftwaffe Wilhelma Karla Hermanna z Hanau k. Frankfurt u nad Menem, który przez dłuższy czas mieszkał na Dolnym Śląsku. Rodzina ojca pochodziła ze Śląska. On sam jako technik Luftwaffe w randze podoficera służył na lotnisku w okupowanej przez Niemców Rumi. Jej matka była tam urzędniczką przyslaną z Berlina w 1943 r. Rodzice wynajmowali od Kaszuba mieszkanie przy ulicy Sobieskiego (podczas okupacji Adolf Hitler Strasse). Matka w tym czasie przeważnie mieszkała w Berlinie, a Erikę urodziła w czasie jednego z krótkotrwałych pobytów u męża w Rumi. W styczniu 1945 r. na trzy miesiące przed wkroczeniem Armii Czerwonej matka z półtoraroczną Eriką i jej trzymiesięczną siostrą opuściły Rumię, skąd dotarły do Szwezwika-Holsztynu. W 1948 r. przeprowadziły się do Berlina, gdzie dziadek Eriki był naczelnikiem dzielnicy. Następnie po powrocie ojca z niewoli w ZSRR rodzina osiedliła się w Hanau.

Po wojnie Steinbach ukończyła prywatne studium muzyki (grała na skrzypcach) i działała w orkiestrze aż do 1967 r., gdy choroba kości uniemożliwiła jej karierę. W 1972 r. wyszła za mąż za znanego jej od dzieciństwa dyrygenta orkiestry Helmuta Steinbacha. W latach 1970–1977 pracowała w administracji. Od 1974 r. jest członkinią CDU, a od 1990 r. deputowaną z jej ramienia do Bundestagu. Należy do kierownictwa rozgłośni ZDF, Stowarzyszenia Terytorialnego Prus zachodnich, a od 2000 r. – kierownictwa CDU. Od 2005 jest członkiem komisji parlamentarnej Bundestagu ds. praw człowieka i pomocy humanitarnej z ramienia CDU. Od 1994 r. jest członkiem, a od 1998 przewodniczącą Związku Wypędzonych w Niemczech (ponownie wybraną na to stanowisko w 2004 r.). Aktywnie propaguje ideę budowy w Berlinie Centrum przeciwko Wypędzeniom, które z założenia ma się koncentrować na dokumentowaniu wysiedleń Niemców z Europy Środkowej i Wschodniej, choć mają się tam również znaleźć informacje o przesiedleniach innych narodów. W lutym 2009 nominowana do rady Fundacji „Ucieczka, Wypędzenie, Pojednanie” przez BdV. Rząd niemiecki prawdopodobnie wstrzyma się z nominacją do wyborów. We wrześniu 2009 r. poparcia Steinbach udzieliła bawarska CSU.

więcej się nie dowiedzieliśmy. Wyszliśmy z domu, tak jak z innych okolicznych domów wyszły rodziny i prowadzono nas w długim szeregu Aleją Zwycięstwa, która wtedy nazywała się ul. Gdańską, w kierunku Witomina. Nastrój był bardzo smutny. Szliśmy długim wąskim szeregiem pod górę, zbaczając w lewo od Alei Zwycięstwa w kierunku do Witomina. Jaka była przyczyna tego, zobaczyłam dopiero później, ponieważ wtedy, kiedy nas wyprowadzano, już na redzie Gdańska ukazały się statki, którymi przywieziono Niemców, uciekinierów z Estonii i Łotwy. Miałam potem przyjemność pracować z jedną z takich uciekinierek, z panią Ireną Tannbaum z Estonii i od niej usłyszałam, że podobne były ich losy, kiedy im również pozostawiano do wyboru wyjechać i wszyscy starali się wyjechać.

Szliśmy wąskim szeregiem, smutni i nieświadomi zupełnie niczego, co nas czekać miało, albo co nas czekało. Szłam z tyłu szeregu za moją mamą (ojciec, dr Teofil Zegarski zmarł 15 grudnia 1936 r.), moimi braćmi Edwardem i Witoldem oraz moją siostrą Maryjką. Miałam wówczas 21 lat, siostra Maria była dwa lata starsza ode mnie, a bracia – Witold miał 19, a Edward – 16 lat. Szliśmy grupką pod górę, a ponieważ ja prowadziłam rower, na którym powieszono były najpotrzebniejsze akcesoria, dlatego szłam raczej z tyłu. Za mną szedł policjant, który pilnował grupy, aby ktoś się nie usamodzielniał. Policjant zaczął rozmowę ze mną. Pytał czy ja mówię po niemiecku? Odpowiedziałam, że mówię. Na co on mnie zapytał, skąd pochodzę? Odpowiedziałam, że urodziłam się w Heidelbergu. Jak on usłyszał, że ja urodziłam się w Heidelbergu, to powiedział, że mam postarać się jak najprędzej zniknąć stąd. Odpowiedziałam mu, że moja siostra też urodziła się w Heidelbergu, a moja mama pochodzi ze Starogardu Gdańskiego, a moi bracia – jeden właśnie zdał maturę, a drugi był jeszcze szesnastolatkiem. Policjant powiedział mi, że mam iść do domu. A ja mu powiedziałam, że nie mogę pójść bez mojej rodziny i nie zostawię rodziny samej. Wówczas zostali oni zatrzymani. Sprawdził tylko, czy moja mama zna język niemiecki, a znała go lepiej ode mnie. Czy moja siostra również zna niemiecki...? Najprawdopodobniej na podstawie wrażenia, jakie odniósł słysząc miejsce mojego i mojej siostry urodzenia powiedział, że mamy wrócić do domu. Tak więc nie doszliśmy do Witomina. Uszliśmy mniej więcej – zawsze to widzę – tam, gdzie Aleja Zwycięstwa podchodzi pod górę, przed garażami (wówczas jednojezdniowa ulica).

Wobec zaistniałych zdarzeń nie dostaliśmy się nawet do Witomina, tylko wróciliśmy do domu. A dom był już całkowicie zajęty przez policję gdańską (minęły ok. 3-4 godziny od naszego wyjścia z domu). Jak wróciliśmy, to przydzielono nam jeden pokój, tj. sypialnię moich rodziców i w tej sypialni wolno nam było się zainstalować, a wszystkie inne pomieszczenia były już zajęte. Później dowiedziałam się, że to nie tylko nasz dom, ale wszystkie domy, które zostały w ten sposób, w tym dniu

opróżnione z mieszkańców, wszystkie zostały przygotowane dla tych Baltendeutsche<sup>2</sup>, czyli Niemców z Balticum, którzy tutaj wtenczas się osiedlili. I tak poznałam potem estońskiego Niemca - aptekarza, który przejął aptekę pana Szkodowskiego... Oni wszyscy z tego statku zostali przewiezieni i zakwaterowani w naszych domach. Dlatego nawet zamierzałam przedyskutować tę sprawę z Eryką Steinbach, ponieważ moim zdaniem tu nie chodziło o wysiedlenie Polaków z tego terenu, tylko chodziło o opróżnienie mieszkań dla sprowadzonych Niemców bałtyckich (Baltendeutsche), a nas wysiedlano wtedy do Generalnego Gubernatorstwa<sup>3</sup>. Wszyscy moi znajomi, którzy przeszli przez Witomino, zostali następnie tam przesiedleni. Wśród wysiedlonych byli: mec. Łaba z żoną, Rogozińscy, Puplowie...

Moja rodzina wróciła do domu. Ojciec zostawił mi testament: *Ty zaopiekujesz się mamusią, bo Ty to potrafisz*. Cały czas, aż do końca opiekowałam się mamą.

<sup>2</sup> Niemcy bałtyccy (niem *Deutsch-Balten* lub *Baltendeutsche*) – mniejszość narodowa zamieszkała w Inflantach, głównie w Estonii i na Łotwie, niemal w całości wysiedlona do Niemiec w połowie XX w. Niemcy bałtyccy zamieszkiwali głównie w ośrodkach miejskich (np. Tallinn, Ryga), na wsi byli najczęściej właścicielami ziemskimi. Niemcy bałtyccy byli potomkami osadników rycerskich, oraz ludności miejskiej napływającej do państwa zakonu Inflanckiego w średniowieczu. Po sekularyzacji państwa zakonnego w Inflantach, Niemcy bałtyccy powołali Księstwo Kurlandii i Semigalii, w którym rządząli i byli członkami warstw uprzywilejowanych. W okresie przynależności Inflant do Imperium Rosyjskiego z Niemców bałtyckich - wciąż utrzymujących żywe kontakty z rdzennymi Niemcami - rekrutowała się znacząca część rosyjskiego aparatu administracyjnego i korpusu oficerskiego armii rosyjskiej. Po zawarciu niemiecko-radzieckiego paktu o nieagresji (Pakt Ribbentrop-Mołotow) pomiędzy ZSRR, a III Rzeszą, w którym ustalono, że kraje bałtyckie (Estonia, Łotwa) i Finlandia staną się strefą wpływów i przyszłym terytorium ZSRR, jesienią 1939 r. ok. 70.000 Niemców bałtyckich otrzymało zaproszenie z nazistowskich Niemiec do opuszczenia ojczyzny i osiedlenia się w Kraju Warty, skąd przymusowo wysiedlono Polaków. Obecnie w krajach bałtyckich pozostało bardzo niewielu Niemców - w Estonii spis z 2000 wykazał 1870 osób, dla których język niemiecki był ojczystym, na Łotwie w 2004 3311 osób. Kilka tysięcy etnicznych Niemców żyje także na Litwie. W niektórych opracowaniach do Niemców bałtyckich zalicza się mieszkańców Wschodnich Prus.

<sup>3</sup> Generalne Gubernatorstwo (1939-1945) (czasem Generalna Gubernia, w skrócie GG; niem. *Generalgouvernement für die besetzten polnischen Gebiete*) – jednostka administracyjno-terytorialna, utworzona na podstawie dekretu Adolfa Hitlera z 12 października 1939 r., z mocą obowiązującą od 26 października 1939 r., obejmująca część okupowanego wojskowo przez Niemcy terytorium II Rzeczypospolitej, która nie została wcielona bezpośrednio do Rzeszy. Utworzenie Generalnego Gubernatorstwa było związane z realizacją wojennych celów polityki niemieckiej w Europie wschodniej, określonych m.in. w Generalnym Planie Wschodnim oraz założeniach polityki okupacyjnej III Rzeszy na terytorium Polski. Realizowano je poprzez fizyczną eliminację większości polskiej inteligencji i tzw. warstw przywódczych, germanizację, przesiedlenia i eksterminację ludności (w celu przygotowania tego obszaru do kolonizacji germańskiej, oraz maksymalną eksploatację gospodarczą na potrzeby wojenne III Rzeszy. W okresie do 1944 r. okupacyjne władze niemieckie traktowały Generalne Gubernatorstwo praktycznie jak kolonię, która dostarczała niewolniczej i nisko kwalifikowanej siły roboczej, surowców naturalnych dla przemysłu oraz żywności. W latach 1939-1940 planowano także utworzenie polskiego państwa szczątkowego (niem. *Reststaat*) zależnego od Rzeszy, koncepcja ta jednak została porzucona wobec kilku istotnych czynników. Niemcy, mimo iż niektóre postacie ówczesnego życia politycznego w Polsce wyrażały gotowość do pewnych negocjacji, ostatecznie nie mogli znaleźć polskiego odpowiednika Hachy lub Quislinga i elit chętnych do kolaboracji. Decydującym czynnikiem uniemożliwiającym utworzenie „polskiego państwa szczątkowego” była negacja tych planów przez ZSRR (pozostający wówczas w sojuszu z III Rzeszą), negujący pomysł zachowania Polski w jakimkolwiek kształcie.

W naszym domu byli jeszcze Staś i Janek - dwaj synowie dr Michała Szucy, przyjaciela mojego ojca z okresu studiów, który był Gdańszczaninem i radcą w Radzie Portów Gdańskich. Dr Schuca<sup>4</sup> przywiózł ich do nas w sierpniu 1939 r., ponieważ obawiał się w Gdańsku, w atmosferze wojennej zostawić swoich chłopców, którzy uczęszczali do naszego gimnazjum w Gdyni. Kiedy policja wyeksmitowała nas z domu, byli wówczas z nami Staszek i Janek. Policja sprawdziła ich dowody osobiste i kazała im wyjechać do Gdańska, ponieważ byli obywatelami Wolnego Miasta Gdańsk.

Policja, która zajęła nasz dom, w grupie ok. ośmiu funkcjonariuszy wykonywała tu swoje obowiązki. Od samego początku zajęto parter naszego domu, w którym znajdowały się sypialnie chłopców z internatu. Tam została urządzona *Kartenstelle*, w której wydawano kartki żywnościowe wszystkim Niemcom, którzy tu mieszkali. Polacy takich kartek żywnościowych nie mieli.

Rozglądałam się za pracę, moja siostra również. W listopadzie 1939 r., przez znajomą mojej mamy, panią Łangowską dostałam ofertę pracy w (Reischbaumcie) Państwowym Urzędzie Budowlanym w Gdyni, który nie miał nic wspólnego z wojną, zajmował się szkołami, budynkami państwowymi. Tam pracowałam od listopada 1939 r. aż do końca wojny. Praca rozpoczynała się o godzinie 7.00, a kończyła się o 17.00. Życia towarzyskiego wówczas nie było.

Wspólne zamieszkiwanie z policją gdańską trwało do ponownego aresztowania naszej rodziny, w dniu 20 kwietnia 1940 r., w urodziny Adolfa Hitlera<sup>5</sup>. Rano o godzinie 5.00, bo hitlerowcy to zawsze organizowali rano. Dzwonek..., ubrać się..., wyjść przed dom. Więc ubraliśmy się, cała nasza czwórka z mamusią (już nie było młodych Szuców), wyszliśmy na zewnątrz. Pytaliśmy się, o co chodzi, ale nikt nam nic nie powiedział. Kazano nam zabrać tylko to, co najpotrzebniejsze, tzn. ręcznik, mydło, szczoteczkę do zębów. Dodatkowych ubrań nie można było zabierać, oprócz tego, w czym się wychodziło. Na ulicy czekał na nas samochód ciężarowy, tzn. na nas i na rodziny polskie, które jeszcze mieszkaly w Orłowie. I tu mam odpowiedź dla Eryki Steinbach, a mianowicie tu naprzeciw naszego domu przy ul. Gdańskiej mieszkało

---

<sup>4</sup> Dr Michał Szuca pochodził z Brus pod Chojnicami. Studiował i doktoryzował się we Fryburgu Badeńskim. Po ustanowieniu Wolnego Miasta Gdańska, pełnił funkcję radcy w Radzie Portów Gdańskich. 1 września 1939 r. został aresztowany i okrutnie potraktowany przez gestapo, a w końcu, w 1940 r. rozstrzelany z grupą zasłużonych Gdańszczan.

<sup>5</sup> Adolf Hitler (ur. 20 kwietnia 1889 r. w Braunau am Inn, zm. 30 kwietnia 1945 r. w Berlinie) – polityk niemiecki, malarz, kanclerz Niemiec od 1933 r., führer i kanclerz Rzeszy od 1934 r., przywódca Narodowo-Socjalistycznej Niemieckiej partii Robotników (NSDAP), ideolog niemieckiej odmiany faszystów zwanej od jego nazwiska hitleryzmem, narodowym socjalizmem lub nazizmem – od niemieckiej nazwy partii (Nationalsozialistische Deutsche Arbeiterpartei), twórca i dyktator III Rzeszy niemieckiej, zbrodniarz wojenny, odpowiedzialny za zbrodnie przeciw ludzkości.

Po objęciu obu funkcji zmieniono nazwę jego stanowiska na „Führer und Reichskanzler” (Wódz i kanclerz Rzeszy). Uznawany jest przez większość historyków za osobiście odpowiedzialnego za politykę rasową nazistowskich Niemiec, Holocaust oraz za śmierć milionów ludzi zabitych podczas jego rządów. Agresywna polityka zagraniczna, którą stosował, doprowadziła do rozpętania przez Niemcy II wojny światowej, w wyniku której zginęło ok. 50 milionów ludzi.

dużo Niemców, np. rodzina Schroderów, Sorge, drugi Paul Sorge (rzeźnik), z którymi żyliśmy bardzo poprawnie. Ale jak już siedzieliśmy w samochodzie ciężarowym, to pani Sorge, żona nieżyjącego już Roberta Sorge, który kupował żywiec na wsi (jego brat to sprzedawał), podeszła i stojąc przed samochodem i widząc nas tam zapytała: Frau Zegarski wie kann ich ihnen helfen? Pani Zegarska, jak mogę pani pomóc? A moja mama, taka przerażona, powiedziała: Hier koenn Sie nichts mehr helfen. Tu już pani nic nie może pomóc. I ja myślę, że Eryka Steinbach o tym nie wie, jak wywożono Polaków, a nie Niemców z Gdyni. Stąd Polacy Niemców nie wyrzucali. Więc kto miał ich wyrzucać? Nas dwa razy z domu chciano wyrzucić.

Kiedy samochód ze spędzonymi Polakami był pełen, a to nie była jedyna ciężarówka, pojechaliśmy do Gdyni. Zawieziono nas do parterowego budynku, naprzeciw hali targowej (obecnie mieści się tam izba wytrzeźwień). Budynek posiadał dwa wejścia. Do jednego wpędzono mężczyzn, gdzie byli moi bracia – Edzio i Witold, a przez drugie wejście kobiety. W środku pomieszczenia było już dużo przestraszonych kobiet, siedziały i stały, trzęsły się, gdy coraz to nowy transport Polaków przyjeżdżał...

Gdy już było zupełnie pełno, wtedy przyszedł SS-mann i przyniósł małe krzesło i stolik, na którym położył coś do pisania i tak po kolei wywoływał każdą z nas. Ja stałam z mamą i czuwałam nad moją siostrą i czekałam, co będzie dalej. Stałam przy wyjściu. Po chwili SS-mann kiwa ręką na mnie. Podeszłam i on pyta: Name? Nazwisko? No więc mówię Zegarska. Imię? Mówię – Irena. Geburstdatum? No to mówię – 23 lutego 1918 r. - a on to pisze. Gdzie jest pani urodzona? Odpowiedziałam – w Heidelbergu. Zapytał – W jakim Heidelbergu? A ja mu na to mówię: Ich habe nicht gewusst, dass es noch mehr Heidelberge gibt! Nie wiedziałam, że jest jakiś inny, drugi Heidelberg. Powtórzyłam – in Heidelberg in Baden am Neckar. On mnie dalej pyta: Was haben Sie vor dem Krieg gemacht? Co pani przed wojną robiła? Odpowiedziałam, że nic nie robiłam. Studiowałam. A co pani studiowała? Odpowiedziałam – germanistykę. A gdzie pani studiowała? Odpowiedziałam – w Poznaniu. A on mówi na to: Machen Sie nach Hause komen. Niech się pani prędko stąd wynosi do domu. I zrobił taki ruch ręką, mało elegancki... Ale ja myślę sobie, że nie zostawię tu samej mamy i siostry, i moich braci, których nie widziałam, bo ich od nas odłączono i prowadzono przez inne drzwi budynku. A SS-mann zawezwał następną osobę, i kolejną osobę, aż w pewnym momencie patrzy tu i mówi: Ich habe ihnen gesagt... Ja powiedziałem pani... A ja mu na to mówię, że ja nie idę do domu, bo tu siedzi moja mama i moja siostra, a moja siostra jest też urodzona w Heidelbergu. Więc on wywołał moją siostrę. Maryjka przyszła. Wypytał ją o wszystko, z datą i miejscem urodzenia... Co robiła przed wojną... Gdzie studiuje? Ona odpowiedziała, że studiuje w Krakowie. Maryjka kończyła w Krakowie Wyższą Szkołę Hotelarską (potem została żoną prof. Józefa Borkowskiego). Po tej krótkiej rozmowie powiedział: Schnell machen Sie, dass Sie nach Hause komen! Maryjka mogła wyjść, ale ja jej powiedziałam, że przecież tu nie zostawimy mamy! Tym bardziej, że mama miała małą wadę słuchu i dlatego czuwałam nad nią, aby nie powstało podczas rozmowy jakieś nieporozumienie.

Trzymałam Maryjkę za rękę i stałyśmy przy drzwiach. Patrzył na to SS-mann. Po chwili zapytał – dlaczego nie idziecie do domu? Odpowiedziałam: Ja nie pójdę do domu bez mojej mamy. Powiedziałam jeszcze, że moja mama mówi dobrze po niemiecku. To on wywołał moją mamę, a mama mówiła bardzo dobrze po niemiecku, bo była córką nauczyciela z Jabłowa i dopiero mając 19 lat uczyła się mówić po polsku od mojego taty. Po rozmowie stwierdził, że mamusia urodziła się jako Jadwiga Zigert, jej ojciec Mathias Zigert był niemieckim nauczycielem w Jabłowie. Po rozmowie z mamą Niemiec powiedział, że możemy iść wszystkie do domu.

Pieszko przyszłyśmy do domu, gdzie wszystko było zagospodarowane przez Niemców. Zainteresowałam się moimi braćmi, bo nie wiedzieliśmy, gdzie oni są. A oni byli zamknięci w drugiej części budynku i pewnie ta sama procedura tam była, ale to byli młodzi chłopcy, Edziu miał promocję do IV klasy gimnazjalnej, a Witold zdał maturę. Musiałam wrócić do pracy w Reischbaumcie i o braciach nie wiedzieliśmy nic. Jeździłam do gestapo do Gdańska, na ul. Neugarten (gdzie później był Polski Konsulat Generalny), zgłaszałam się do gestapo i pytałam, gdzie są moi bracia? A oni mi na to, że są *im Umschulungslager für Jugendliche*, czyli w przeszkoleniowym obozie dla młodzieży, „a jak ich przeszkolą, to wrócą do domu”. Ale nie powiedzieli, gdzie oni są. Zawsze mi mówili, że są w *Umschulungslager für Jugendliche*. Przyjechałam do domu i pocieszałam moją mamę: „Mamusiu, oni w przeszkoleniowym obozie dla młodzieży”. Nic nam to nie mówiło, bo my tu żadnych tego typu szkół nie mieliśmy.

Tak było do lata 1941 r. Wówczas od Witolda i Edwarda przysłała kartka, na której było napisane „Konzentrationslager im Sachsenhausen Oranienburg bei Berlin”. Na górze kartki podane reguły, że każdy może otrzymać tylko raz w miesiącu jeden list. W liście było napisane: „Jesteśmy zdrowi, czujemy się dobrze, powiedzcie co robi mamusia i co wszyscy robicie?”. Gdy tę kartkę do ręki dostałam, to zaraz mówię do mamusi: „Ja tam muszę pojechać, poszukać ich”. Poszłam do mojego Baurata, który nazywał się Krüger i mówię: „Panie Bauracie, ja muszę pojechać do Berlina”. Był to gdańszczanin i bardzo przyzwoity człowiek. A on na to: „Jeżeli pani musi, ale dlaczego nie?”. To ja mu na to, że dostałam kartkę od moich braci i muszę ich poszukać. Pokazałam mu kartkę, a on nic nie powiedział. Domyślałam się, że wiedział co to jest *Konzentrationslager*. W każdym bądź razie powiedział: „Niech pani jedzie”.

Na kartce było napisane „Oranienburg bei Berlin”, to dla mnie znaczyło, że do Berlina. Następnego dnia wsiadłam do pociągu nie byle jakiego, tylko tego, co jechał do Berlina. Nie było potrzeba paszportu tylko dowód osobisty, który miałam przez całą wojnę. W dowodzie było napisane:..... Irena Zegarski, urodzona 23 lutego 1918 r. w Heidelbergu. Przynależność państwowa - „niewyjaśniona, dawniej Polska”.

Wsiadłam do pociągu i pojechałam do Berlina. A w Berlinie w Zehleldorf West mieszkał wuj mojego ojca, Juliusz i jego żona Klara Looß, który miał majątek pod Chojnicami „Pogorzeliń”. Jak byłam młoda, to tam byłam wywożona na wakacje. Tenże wujek ożenił się z Niemką, bardzo miłą ciocią, z którą byli na wymienionym majątku. A potem, gdy skończyła się I wojna światowa, a oni podczas plebiscytu w 1920 r. obywatele niemieccy albo Niemcy mieszkający na pomorskim terenie, musieli

zdecydować, czy chcą zostać w Polsce, czy też pojechać do Niemiec. Jeżeli chcieli zostać w Polsce, to dostawali obywatelstwo polskie, jeżeli chcieli jechać do Niemiec, mieli prawo zabrać cały swój ruchomy majątek. Ponieważ ciocia była ewangeliczką i miała dwie podrastające córki, to oni zdecydowali, że jadą z całą rodziną do Niemiec. Mój tato pracował w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego w Warszawie, pomógł swojemu wujkowi zabrać wszystkie swoje rzeczy z majątku w Pogorzelinach. Ziemia, którą posiadał wujek w Pogorzelinach, została, a oni otrzymali za to majątek w Niemczech. Tak więc niech dzisiaj niektórzy Niemcy nie mówią, że wyrzuceni stąd, biedni ludzie tam nic nie mieli – to jest nieprawda! Bo ja znam same takie przypadki ludzi, którzy tutaj zostawili swoje majątki, a tam dostali, m.in. mój wujek taki dostał w Georsdorf na Śląsku oraz dom w Berlinie. Później mieszkali w Zehlendorf West pod Berlinem, na Kleinstr. 2.

Kiedy zjechałam do Berlina radość cioci i wujka była duża, bo oni też do nas przyjeżdżali, a mój tata jeździł do nich do Pogorzelin. Powiedziałam im, że przyjechałam, bo moi bracia są w ośrodku przeszkoleniowym dla młodzieży i ja muszę ich tu poszukać, ja muszę mojej mamie powiedzieć czy oni żyją i jak się im powodzi. Wujek przyjął tę wiadomość i powiedział, że jak wiesz gdzie, to naturalnie... Odprowadził mnie na dworzec, bo musiałam rano udać się do Sachsenhausen, to jest ok. 30 min. kolejką miejską. Dojechałam do Stettiner Bahnhof i szukałam, gdzie znajdę Sachsenhausen. Zapytałam jakiegoś przypadkowego pana, a on mi powiedział, że pójdzie pani tymi schodami do góry i tam wyjdzie pani na inny zupełnie peron i stamtąd jedzie ten pociąg. Poszłam tam, gdzie mi pokazano. To był zupełnie inny peron, pomimo że to był Stettiner Bahnhof, z pociągiem, który miał trzy wagony, każdy przedział otwierane drzwi, a lokomotywa w pociągu taka, jakie dawniej jechały do Kartuz. Na peronie był tylko zawiadowca stacji z czerwoną czapką. Zapytałam go jeszcze, czy to jest pociąg do Sachsenhausen. Kiedy on to potwierdził, wsiadłam i pojechałam. Byłam na peronie sama jedna. Okazało się później, że to była linia założona specjalnie do przewożenia wszystkich więźniów z Niemiec, tak żeby nie widzieli ich sami Niemcy.

Wysiadam w Sachsenhausen, a tam nawet „żywej duszy” na peronie. Widać było, że cały peron był niedawno *ad hoc* zrobiony, specjalnie do zatuszowania dla tych rzeczy, które tam na tych dworcach się dokonywały. Wysiadłam, a na peronie stał zawiadowca z czerwoną czapką, którego zapytałam: Czy może mi powiedzieć, gdzie jest obóz przeszkoleniowy dla młodzieży? On odpowiedział: *Was? Kinderhort? Kindergarten?* Czy ochronka, czy przedszkole? Nie. Powiedziałam - obóz szkoleniowy dla młodzieży. Powiedział: *Das weiss ich nicht*. Kazał mi wyjść i pokazał, gdzie mam zapytać dalej. Ja wyszłam przed dworzec, a dworzec to była taka mała, wymurowana co prawda, ale buda. Wychodzę stamtąd i idę ok. 20 kroków i napotykam na duży las, który tam się zaczyna. Prowadzi do niego ulica, a przy wejściu do tego lasu była duża tablica: *Achtung! Durchgang verboten! Es wird ohne Anruf Schaff geschossen! Wejście wzbronione! Bez uprzedzenia strzela się!* Pomyślałam, że nie będą przecież na młodą dziewczynę strzelać! I weszłam w tę ulicę. Robiłam tak, jak mi powiedział zawiadowca,



że tam mam iść i zapytać. Szłam drogą wybrukowaną, z jednej strony był duży las, a z drugiej jakieś zagajniki. Szłam tak ok. 300 m. I nagle zaczyna się mur. Mur, który był wysoki na ok. 4-5 m., a u góry miał zakończenie drutem kolczastym oraz haki odstające i ponownie drut kolczasty. Znowu spotkałam tablicę: *Achtung! Durchgang verboten! Es wird ohne Anruf Schaff geschossen!* Idę, idę wzdłuż tego muru, i jak przeszłam kilkaset metrów, doszłam do wieży z daszkiem, z bieżnikiem dookoła, która górowała nad murem. Podejrzewam, że to był punkt obserwacyjny. Nagle słyszę *Halt! Halt!* Ale ja szłam dalej. Ktoś zaczął schodzić do mnie, a potem zamknął jakąś bramę, biegł za mną i wołał, abym się zatrzymała. Wówczas się zatrzymałam. A on mnie pyta: Co ja tu robię? Ja mu powiedziałam... ja tu szukam... A on mnie pyta, czy nie czytałam napisu, który tu widać? Odpowiedziałam, że czytałam, ale nie wyobrażam sobie, żeby na mnie od razu ostro strzelano. Powiedział: A czego pani tu szuka? Więc ja mu mówię, że szukam tu moich braci. Nawet na początku powiedziałam, że szukam brata, żeby nie pomyśleli, że mam dwóch braci – może bandycka rodzina! A dlaczego go pani tu szuka? A dlatego, że mi powiedziano, że jest w obozie przeszkoleniowym dla młodzieży. Zapytał jeszcze raz – *Was?* To ja też mu powtórzyłam. A on mi mówi na to: Skąd pani wie, że on tu ma być? A ja mówię, że tak mi powiedzieli w Gdańsku, dlatego go tu szukam. I to, że ja dostałam kartkę od niego. Wtedy on chciał, abym mu pokazała tę kartkę. Gdy mu pokazałam kartkę, zauważył, że tam są dwie osoby podpisane – Witold i Edward. Wówczas powiedziałam, że to są dwaj moi bracia. A on bierze tę kartkę i mówi: *Hier sind Sie.* To oni tutaj są. Powiedziałam – Tak?, to proszę mi ich zawołać! Powiedział, że tak zawołać to ja nie mogę. Ale oni są tutaj. I poszliśmy drogą – było zupełnie pusto, nie było tam nikogo. W czasie drogi opowiadał mi, że on jest z Wiednia, z Austrii, że ma taką córką w moim wieku (...), słuchałam go, ale ciągle na nowo mówiłam i pytałam o moich braci. Prosiłam go, aby mi powiedział jak ja mogę się z nimi zobaczyć? A on mi powiedział: Ja pani pokażę, gdzie będzie musiała pani przyjechać, ale to dzisiaj już nie, bo zrobiło się dosyć późno, była prawie pora obiadowa. Będzie musiała pani przyjechać jeszcze jeden raz do komendanta. Tak tą drogą wyprowadził mnie z Sachsenhausen, gdzie ja wysiadłam z pociągu, aż do Oranienbruga, to jest miasta garnizonowego, które daje ten tytuł obozowi koncentracyjnemu. Pokazał mi ten dom, czyli komendanturę. Budynek był większy niż nasza gdyńska szkoła. I powiedział, że tutaj będzie pani musiała jutro przyjechać i zgłosić się do komendanta. Więc mu podziękowałam, podałam mu rękę, bo on był dla mnie bardzo uprzejmy. Powiedział jeszcze, że nie musi pani wracać z powrotem do Sachsenhausen, bo stamtąd rzadko pociągi jadą, raczej tu przyjeżdżają. Stąd, z Oranienbruga można jechać bezpośrednio aż do Zehlendorf West. Wsiadłam do pociągu i postanowiłam następnego dnia znowu przyjechać.

Zajechałam do wujka Looßa, który zapytał co załatwiłam? Odpowiedziałam, że dowiedziałam się, iż to jest obóz koncentracyjny, że oni są w Oranienbrugu, i że muszę tam jutro rano pojechać. Po południu poszłam i to co było można kupić w sklepie, np. papierosy, rodzyнки, bo to można było dostać bez kartek - kupiłam.

Następnego dnia wujek odprowadził mnie do pociągu i bezpośrednio pojechałam

do Oranienbruga. Wiedziałam, gdzie jest ten obóz koncentracyjny, ale najpierw z tego wielkiego wrażenia, że tam idę, to poszłam w przeciwnym kierunku. Gdy zauważyłam, że jest coraz mniej domów i ludzi... Nie pytałam w drodze nikogo, ale zawróciłam. No więc wróciłam i już szłam w kierunku komendantury.

Wchodzę do komendantury, widzę duży hol, marmurowe schody, na prawo gabloty szklane, a za tą gablotą siedziało dwóch SS-manów. Poszłam do nich, a oni zapytali: Dokąd ja chcę pójść? Odpowiedziałam, że do komendanta. Wówczas jeden do drugiego powiedział na ucho: Słuchaj, ona chce iść do komendanta! Poprosili o mój dowód osobisty. Wypisał mi przepustkę, a następnie wyszedł ze swojej gabloty i poszedł ze mną na górę, na pierwsze piętro, do pokoju. Pamiętam, w tym pokoju była długa lada, a za nią siedziało znowu dwóch SS-manów – jeden coś pisał, a drugi zajmował się czymś innym. SS-man, który mnie przyprowadził, powiedział: Ta młoda dama życzy sobie do komendanta! SS-mani, podobnie jak ci na dole, mówili do siebie: Ona chce do komendanta! Po chwili jeden z SS-manów poszedł zgłosić mnie do komendanta. Natomiast ten drugi pisał na maszynie do jakiejś pani Kowalskiej z Neustadt West-Preussen (Wejherowo) – „der Mann ist heute nachts gestorben”. Tzn. „że ten mąż Kowalski dzisiaj umarł w nocy”. Jeden z SS-manów, ten który pisał, pytał tego drugiego: „Na co on mógł umrzeć?” Ten mu odpowiedział, że na zakłócenie w krążeniu krwi.

Po chwili wychodzi średniego wzrostu mężczyzna w mundurze, w wieku 45-50 lat i pyta: *Jemand wollte mit mir sprechen?* Ktoś chciał ze mną mówić? SS-mani mu powiedzieli, że to ta pani. Komendant Arthur Liebehenschel<sup>6</sup> poprosił mnie do swojego pokoju. Ten pokój był bardzo duży, z wysokimi oknami, z jasnej skóry obitymi meblami, fotelami, a na jednym on siedział przed obitym skórą biurkiem. Jak weszłam, zauważyłam dużą zamkniętą szafę oszkloną, rodzaj biblioteki, a w szafie znajdowały się skalpy ludzkie, takie jak Indianie ściągali białym ludziom, tj. suszone czaszki z włosami – skalpy. Stały na patykach. Potem dowiedziałam się, że Niemcy tych, którzy tam w obozie ginęli, skalpowali. To, co piszę, nie jest nic zmyślone, ja to naprawdę widziałam.

Pan komendant poprosił mnie, abym usiadła. Wtedy zaczęłam mu opowiadać.

<sup>6</sup> Arthur Liebehenschel, SS-Obersturmbannführer. Ur. 25 listopada 1911 r. w Poznaniu, z zawodu kupiec i urzędnik skarbowy. Od stycznia do sierpnia 1919 r. należał do Freikorpsu „Grenzschutz-Ost”, zaś w okresie między 4 października 1919 a 3 października 1931 r. służył w Reichswehrze, gdzie zakończył służbę w stopniu Oberfeldwebel. Członek NSDAP od 1 lutego 1932 r. (nr partyjny 932766) oraz SS od listopada 1931 r. (nr ewidencyjny 39254), z przydziałem do 27. pułku Powszechnej SS we Frankfurcie nad Odrą. 4 sierpnia 1934 r. wstąpił do zawodowej służby w SS-Wachtruppen i został włączony w skład załogi SS KL Columbia-Haus w Berlinie. Pod koniec 1934 r. przeniesiony na stanowisko adiutanta komendanta KL Lichtenburg, które piastował do 1 sierpnia 1937 r. Następnie został kierownikiem wydziału politycznego (Politische Abteilung des IKL/Abteilungsleiter) w Inspektoracie Obozów Koncentracyjnych. 1 maja 1940 r. objął etat szefa sztabu (Stabsführer) IKL, a po powstaniu SS-WVHA - w dniu 15 marca 1942 r. - mianowano go zastępcą szefa Urzędu D - Obozy Koncentracyjne, równocześnie objął stanowisko Inspektora Obozów Koncentracyjnych. 11 listopada 1943 r. odszedł z Głównego Urzędu Gospodarczo-Administracyjnego SS do KL Auschwitz, gdzie zastąpił przeniesionego na jego stanowisko komendanta obozu Rudolfa Hessa. 15 maja 1944 r. został komendantem KL Lublin/Majdanek, a po jego likwidacji i kilkutygodniowym urlopie - przeniesiono go do urzędu Wyższego Dowódcy SS i Policji „Wenecja Julijska” w Trieście we Włoszech. Był członkiem organizacji Lebensborn. Odznaczony m.in. Wojennym Krzyżem Zasługi II i I Klasy z Mieczami, Pierścieniem Honorowym SS oraz Szpadą Honorową SS. Skazany przez Najwyższy Trybunał Narodowy w Krakowie na karę śmierci (22 grudnia 1947 r.) i stracony przez powieszenie, dnia 24 stycznia 1948 r.

Opowiadam, opowiadam, ale ciągle na nowo mówię o Witoldzie i Edwardzie, że chciałabym zobaczyć moich braci. A on zapytał, skąd ja tak dobrze mówię po niemiecku? A ja mówię, że studiowałam germanistykę... komendant był bardzo ciekawy, gdzie ja tę germanistykę studiowałam? Odpowiedziałam, że najpierw w Gdańsku, a potem w Poznaniu. Jak on usłyszał Poznań, to był zupełnie innym człowiekiem. Zaczął mi opowiadać i pytać, m.in. czy katedra jeszcze tam stoi? Niemal zapytał – czy Warta tam płynie w Poznaniu? Czy zamek też jeszcze jest? A ja mu powiedziałam, że w zamku jest nasza germanistyka, a ja jestem po egzaminach. Opowiadałam mu wszystko o Poznaniu, ale tam gdzieś w środku dodawałam: ale ja chcę zobaczyć moich braci. Ja muszę mojej mamie powiedzieć, że oni żyją. On natomiast powiedział mi, że urodził się w Poznaniu, jego ojciec był tam urzędnikiem. On w Poznaniu wyrastał aż do czasu plebiscytu, wówczas jego rodzina zdeklarowała się i wyjechała do Niemiec. Ale dla niego Poznań, to była jego młodość.

W końcu zatrzymał się na moich braciach i powiedział, że tak normalnie to jest niemożliwe, żebyśmy się zobaczyli, bo tutaj nikt nie przyjeżdża, żeby z kimś z obozu rozmawiać – to jest obóz koncentracyjny. Ale obiecał, że zaraz postara się, żeby może wyjątek zrobił ten, kto jest od tego kompetentny. Zadzwoił do dowódcy Sił Bezpieczeństwa Policji Głównego Urzędu Bezpieczeństwa Helfa von Eldorfa, na Prinzalbertstr. w Berlinie. Powiedział, że ma tu taką młodą osobę, która chciałaby odwiedzić swoich braci, którzy są tu w obozie, i on prosi o specjalne pozwolenie. I dostał to pozwolenie. Następnie zadzwonił po swojego adiutanta, aby ten zaprowadził mnie do obozu. Wyszliśmy z komendatury, następnie szliśmy znajomą mi drogą, przyszliśmy do pierwszej furty, a tam – jaka to perfidia – prawdziwe eldorado, kwiatki, płynący strumyczek, starzy więźniowie w ubraniach więziennych, ze swoim numerem i winklem kolorowym tam pracują i patrzą na mnie z takim żalem, że oni mnie pewnie też tutaj wsadzą do tego obozu. Ja idę dalej, nie rozmawiam i dopiero za trzecią bramą zobaczyłam napis: *Arbeit mach frei*. Przy murze stała tam mała budka. Przyszedł do nas adiutant, któremu następnie zostałam przekazana. Za tą bramą zaprowadzono mnie do dużego budynku Politische Abteilung des IKL/Abteilungsleiter – oddziału politycznego. A dowódca oddziału politycznego znowu pyta o nazwisko, więc mu powiedziałam. On znowu pyta – A co oni robili przed wojną? Odpowiedziałam, że nic nie robili, bo oni chodzili do szkoły. *Das ist nicht wahr* – to się nie zgadza - powiedział. Oni podali, że są *Gärtnerlehrlinge* - uczniami ogrodniczymi. Ja odpowiedziałam, że może się zrobili uczniami ogrodniczymi. A potem bracia mi powiedzieli, że tak wykombinowali sobie, że jak powiedzą, że są po ogrodnictwie, to tam będą pracowali i tam zawsze będzie jakaś marchew, jakaś brukiew, i tym podobne. W biurze, w którym byłam, widziałam szafę z segregatorami, kartami z numerami więźniów. Numery moich braci znam na pamięć – 21332 i 21345 – takie mieli numery. Następnie komendant poprosił mnie, abym usiadła w poczekalni i czekała, a on poszedł. Ja już cieszę się, że Edziu i Witold przyjdą, tymczasem on wraca i mówi: Proszę pani! Niestety, nie ma ich, oni są w ogrodnictwie, tam pracują, ale przyjdą na przerwę obiadową i wtedy ich tutaj przyprowadzą.

Wreszcie usłyszałam śpiew więźniów wracających z roboty – *Oh, du schoner Westerwald. Och ty piękny lesie niemiecki...*

I za chwilę wyszedł komendant i przyprowadził ich. Kiedy weszli, patrzyli na mnie i zaczęli płakać, i ja tak samo. To był taki płacz, że komendant nie mógł na to patrzeć i wyszedł. Edziu zapytał – I ty też tu przyszłaś? Czy ty też tu będziesz? Myśleli, czy ja stamtąd teraz wyjdę? Ja pokazałam im papierosy i rodzynki. Oni pchali sobie te rodzynki do ust i płakali. Dopiero po chwili zapytali, jak mamusia, jak Maryjka? Właściwie to nie była rozmowa. To był jeden wielki płacz. Edziu potem powiedział, że Witold ma owrzodzone całe nogi i przywieź mu jakąś maść, żeby mu to jakoś zawinąć, bo ja nie mogę mu pomóc, co mamy tu zrobić? Tu nic nie ma. Obydwaj byli wysocy, ale byli ubrani w bardzo krótkie spodnie. Spotkanie trwało ok. pół godziny, jeżeli nie dłużej. Pożegnaliśmy się szlochając cały czas. Bracia pytali, czy na pewno przyjdę? Czy przyniosę, to co oni potrzebują? Obiecałam, że przyjdę i przyniosę, to co trzeba. Z braćmi żyliśmy bardzo zgodnie, jak wszyscy w rodzinie. Mój tato umiał nas pedagogicznie prowadzić i wychowywać.

Jak oni wyszli, to dowódca *Politische Abteilung* powiedział, żebym sama nie wychodziła, bo on też wraca do Berlina. Pokaże mi prostą drogę i rzeczywiście skończył służbę, zabrał mnie i pojechaliśmy do Berlina, a tam pożegnaliśmy się. Po drodze kupiłam bandaże, jakieś maści i wróciłam do mojego wujka, aby mu wszystko opowiedzieć. I znowu był płacz. Wujowie byli tam bezsilni, aby mi pomóc w tej sprawie.

Następnego dnia pojechałam prostą drogą do Oranienbruga, do komendanta, Poznaniaka. Przychodzę do niego do góry i opowiedziałam mu, jak ja znalazłam swoich braci. Opowiedziałam mu, że to był taki płacz, że właściwie niewiele sobie powiedzieliśmy, ale z ich strony była taka prośba, żeby starszemu bratu przynieść bandaże i zapytałam, czy ja mogę mu to oddać? Oj, powiedział – proszę pani – to był wyjątek, tego jeszcze nikomu nie udało się, wejść do obozu... Tego on już nie może też zrobić. Ale obiecał, że to weźmie i im dostarczy. A jeśli będzie cokolwiek trzeba, to wyjął swoją wizytówkę, na której było jego nazwisko – *SS-Obersturmbannführer Arthur Liebehenschel*<sup>7</sup>, i powiedział, że do niego mogę zawsze się zwrócić. Więc postanowiłam zostawić mu te rzeczy i pożegnałam się, a następnie pojechałam do domu.

Po powrocie, krótko potem, dostaję od Edzia kartkę, w której pisze, że Witold zachorował na ucho i „zrób coś, żeby go tu nie operowali”. Ponieważ dostałam wizytówkę i miałam telefon do komendanta (*SS-Obersturmbannführera*) Arthura Liebehenschela, do którego zadzwoniłam z domu z Gdyni. Dodzwoniłam się i poprosiłam o to, aby mojego brata tam nie operować, a zawieź go do miasta na operację. Komendant mi odpowiedział, że robi wszystko, co będzie mógł. Potem

---

<sup>7</sup> Komendant obozu koncentracyjnego w Oranienbrug Arthur Liebehenschel, od 1943 r. został komendantem załogi SS obozu koncentracyjnego *Auschwitz-Birkenau*, która liczyła w latach 1940-1945 ponad 6 tys. osób. Funkcję komendanta obozu pełnili kolejno: *SS-Obersturmbannführer* Rudolf Höss - od 1940 do 1943; *SS-Obersturmbannführer* Arthur Liebehenschel - od 1943 do 1944; *SS-Sturmabführer* Richard Baer - od 1944 do 1945 r.

Witold, co prawda, nie został wywieziony do szpitala, ale jakoś mu to zapalenie ucha wyleczyli. Efekt tego był jeszcze taki, że kilka dni później w obozie został ogłoszony alarm i zarządzono zbiórkę wszystkich więźniów, podczas której numery – 21332 i 21345 – zostały wywołane. A tam stali lekarz obozowy, komendant Liebehenschel... Witold mi opowiadał, że jak ich wtedy wywołali, to pomyślał, że teraz to już koniec z nami, teraz nas wywiozą do Bergen Belsen i nas „spuszczą”, a tymczasem oni zostali pokazani lekarzowi rewirowego szpitalika i zostali obydwaj przeniesieni do pomocy, Witold jako *Pfleger* pielęgniarz, a Edziu jako *Läufer* - goniec. W ten sposób oni z obozu, z *Gartenwiese* przenieśli się i byli tam do maja 1945 r., czyli prawie do końca wojny.

Kiedy Rosjanie zbliżali się do Berlina, znowu w urodziny Adolfa Hitlera, 20 kwietnia 1945 r. obozy koncentracyjne zostały rozwiązane. Wtedy wszyscy ci więźniowie zostali wyprowadzeni z Oranienbruga, Bergen Belsen (ze Stutthofu też), zostali prowadzeni pod Lubekę na brzeg morza, gdzie stały stare łodzie rybackie, kutry i tam wsadzano tych wszystkich więźniów i wypuszczano ich po prostu na morze. A Szwedzi i Duńczycy zajmowali te łodzie i ratowali uchodźców.

Również Janek Szuca, który u nas w Gdyni uratował się, ze Stutthofu był prowadzony pieszo m.in. przez Pręgowo aż pod Lubekę.

Witold i Edward doszli aż do wsi Grabow pod Lubeką i tam zatrzymano ich, dlatego że uchodźcy słabli coraz bardziej, i tego kto upadł na ziemię – zastrzelono i tak zostawiano. Gdy została grupa samych chorych, zawołano dowodzącego marszem, a w tej grupie Witold był pielęgniarzem, Edziu był jego pomagierem, wobec tego powiedzieli, że ci najsłabsi, którzy dalej iść nie mogą, żeby już dalej ich nie strzelać, po prostu zostaną w tym Grabow, pod opieką Witolda i Edzia. W ten sposób, co niektórzy uratowali się.

Potem przyszły wojska radzieckie i Witolda i Edzia przejęli, a następnie, 25 maja 1945 r. przywieźli ich do Gdyni.

Nagle stoją przed drzwiami naszego domu obaj bracia – ja ich nie poznałam. Bo Edziu tak wyrósł, że był wyższy od Witolda... ale to spotkanie, to było nic do tego spotkania w Oranienbrugu...

Najgorsze jest to, że po zakończeniu II wojny światowej, gdy aresztowano dowódcę obozu koncentracyjnego w Oświęcimiu Arthura Liebehenschela (który w latach 1943-1944 przejął dowodzenie obozu po Rudolfie Hessie) i gdy po wyzwoleniu siedział do wyroku w więzieniu w Krakowie, wówczas miałam poczucie, żeby teraz jemu okazać kawałek wdzięczności. Nie mogę sobie wybaczyć, że tego nie zrobiłam. Chciałam przekazać chociaż paczkę papierosów... Do końca życia będę miała w pamięci to niespełnienie...

Opracował ks. Mirosław Gawron